PAMIĘCI

WINCENTEGO POLA.

1807 – 1872.

Cena $2\frac{1}{2}$ sbr.

(Odbitka z Dziennika Poznańskiego.)

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

— Pol umarł!!

Śmierć ta, do któréj byliśmy chorobą długą przygotowani, boleśnie jednak serce ścisnęła — Pol umarł — spoczął po długiém życiu walki i boleści, lecz z nim umarło — pękło jedno żywe ogniwo, które nas z przeszłością łączyło. W nim ta przeszłość szlachecka staréj rzeczpospolitéj ostatniego miała wieszcza. — Piękny poemat ów, który już przebrzmiewał czasu czteroletniego sejmu, którego żywym aktorem i historykiem był Pasek, którego apologistą jenialnym był Soplica-Rzewuski, — przez usta Pola ostatnią pieśnią się zamknął, szlachecki świat postradał ostatniego wieszcza.

On jeszcze z żywych ust wyssał jego tradycye, nauczył się jego języka, był wtajemniczony w najdrobniejsze szczegóły prastarych obyczajów, widział jeszcze wyszarzane kontusze, co pamiętały rzeczpospolitą, i poszczerbione szable, co za nią walczyły; on jeszcze się zetknął z tymi odchodzącymi na wieki: Morituri nasi braterskiém żegnali go pocałowaniem, a teraz spoczął z nimi... ostatni pieśniarz umarłéj przeszłości.

Polska nie umarła i nie umrze nigdy — ale ta staroszlachecka Polska, którą zachwiał sejm odrodzenia, sejm czteroletni — nie żyje, żyć nie może i należy do poematów przeszłości.... Opłaciliśmy drogo tę wielką pieśń na pół rycerską, na pół świętą, — na pół już potém butną tylko i rozszalałą... ale że tam to życie piękne było, barwne, dziwnie oryginalne, rozbujałe,

pełne fantazyi, że drugiego takiego świata nie ma nigdzie i nigdy nie będzie — to pewna. . . . Przeczytajcie Paska, pomówcie z Soplicą i polubujcie się przygodami Winnickiego a Mohortem. . . . Onéj szlachty pełnéj serca, z wiarą poczciwą a czynną, z poświęceniem gorącém, z gotowością do boju i na śmierć każdéj godziny, onéj idealnéj szlachty, co się paliła do cnoty . . . co życie wiodła, patrząc w niebo i wierząc w obowiązki, onéj szlachty Zygmuntów — nie ma już na świecie — są szlachciców potomkowie herbowni — ale szlachty i szlacheckiego świata już nie ma!! Ostatni zmarli bezpotomni po duchu!

Tego świata Pol był bardem ostatnim.

Tak jeszcze niedawno widzieliśmy go pełnym sił i krzepkim, mimo ociemnienia! Owszem, te zamknięte jego oczy, co się zdawały w inne patrzeć nadziemskie kraje, dodawały Homerowi uroku.

Jeszcze nie dawno wyśpiewał ze ślicznym wstępem, na myśliwskim rogu swego Starostę Kiślackiego, jeszcze nie dawno zbierał się z nami, radząc do wydawnictwa wszystkich pism swoich!! Ale mu czas było odpocząć — bo już całą duszę wyśpiewał, a tęskno mu było, do koła słysząc szmer giełdowy i politykę szwabską, starczącc za cały żywot wytrzebionym resztkom polskiej społeczności.

Na grobie Wincentego Pola trudno co powiedzieć o jego życiu. Było ono polskie, łatwo się go domyśleć. Bił się, cierpiał, płakał, zażył wszystkiego, co boli, mało tego, co pocieszа i krzepi — wyśpiewał, co miał w sercu lepszego, gorycz w niém zamknął — i śpi spokojnie. . . . Pan Bóg mu oczy naprzód odjął, aby się bardzo twarzą ojczyzny nie nękał, teraz wziął go do siebie, aby już i nie słuchał, co się dzieje.

Biografią Pola kto inny lepiéj, obszerniéj opowie, my tylko kilka pobieżnych słów poświęcim jego pamięci.

Wincenty Pol (Wincenty Ferrer. Jakób) urodził się dnia 20 kwietnia 1807 r., postradaliśmy go więc ledwie sześćdziesiąt pięcioletnim, ale w tych sześćdziesięciu były lata, których jeden starczył za dziesiątek.

— Urodził się i młode lata spędził w tym Lublinie trybunalskim, pełnym różnego rodzaju wspomnień, tradycyi i pamiątek, gdzie stał jeszcze za jego czasów pień dębu, pod którym Leszek Czarny usypiał, gdzie u Dominikanów sławiły się relikwie z krzyża, z rąk tatarskich wyrwane, gdzie pokazywano jeszcze krucyfix, co do sędziów przemawiał, gdzie począwszy od Bramy Krakowskiéj w okół posiano było kośćmi i tradycyami przeszłości. Tu on pewnie chłopięciem nauczył się tych pierwszych legend, które późniéj tak żywo śpiewać umiał. — Z Lublina przeniósł się na uniwersytet do Wilna w tych czasach, gdy on jeszcze żył świeżém wspomnieniem Ody do młodości, Mickiewicza i Zana. — W r. 1830 wszedł w szeregi i walczył. . . .

Jeszcze mu się poezya nie śniła, wprzódy nią miał żyć, niżeli począł ją śpiewać. W tém też różnica główna jego od wielu, co pierwéj nucić zaczęli, niż życia skosztowali, i dla tego poezya Pola jest prawdziwą, że popłynęła ze źródła jako owoc doświadczenia, życia, uczucia, jako potrzeba duszy. — Pierwszą jego pieśnią jest żołnierska śpiewka na forpocztach nucona, przy biwaku — natchniona zapałem, nadzieją, a potém goryczą przepełniona i tęsknotą. Wśrod téj wojny, w pochodzie na Litwę Pol poczuł się poetą a namaszczeniem dlań była krew przelana za ojczyznę. . . . W tece jego wspomnień może oprócz Pieśni Janusza, które są najlepszym dziennikiem téj doby jego życia, zostało co z wojny z 1830 r. — Z żołnierza chwilowo pielgrzym, tułał się Pol za granicą i spotkał się w Dreznie, nieuniknionem dla wychodzców, z Adamem Mickiewiczem. . . . W tym samym czasie wszakże przeciągnęli tędy Krasiński, Słowacki, Garczyński, a wprzody Kościuszko, Ign. Potocki, Kołłątaj, Niemcewicz, Dąbrowski, Wybicki. . . . Na téj ziemi zimnéj i wcale dla nas nic gościnnéj iluż stóp naszych ślady. . . . O stósunku Pola do Adama nic wiemy nic, opowie to może ktoś, komu się w poufnéj chwili wyspowiadał Pol Wincenty. — Pol nie mógł być emigrantem, był nadto w duszy synem téj ziemi i potrzebował jéj powietrza do życia,

zwrócił się więc do Galicyi. — Wiemy z kilku wspomnień przez jego przyjaciół, że tu serdecznie przyjęty i ukochany, przesiedział i prześpiewał aż do rzezi galicyjskiéj. — Z tego krwawego dramatu uszedł zaledwie z życiem, nie bez szwanku na zdrowiu, nie bez rany na duszy. Postradał w grabieży nie tylko część znaczną swojego mienia, ale najdroższe owoce pracy, papiery swe i książki.

Jeszcze późniéj znajdujemy go na katedrze uniwersytetu Jagiellońskiego profesorem krajoznawstwa i etnografii, pojętych tak, jak te nauki niezbędnie pomocnicze do dziejów nowa epoka stworzyła.

Spuścizna po poecie i pisarzu nam pozostała jest bardzo znaczną. Oprócz poematów i pieśni prozą znaczna część etnograficznych jego studyów w tece dotąd pozostała.... Głównie jednak jako lirnik szlachecki, jako pocta świeci Pol w plejadzie téj, którą natchnął rok 1830. — Pieśni Janusza już mu zyskały rozgłośne imię, niektóre z nich przeszły w usta ludu, stały się bezimiennemi temi pieśniami epoki, które jak Mazurek Dąbrowskiego i Trzeci Maj za utwór całego narodu uważać można.

Nikt lepiéj nie ocenił wartości tych pieśni Pola nad Cybulskiego w odczytach o ostatniéj dobie polskiéj poezyi.

Pieśń o ziemi naszéj i Mohort podniosły sławę poety, szczególnie ostatni postawił go niemal obok pana Tadeusza.

W tych dwóch ostatnich utworach Pol ma formę własną, już jest zupełnie sobą i takim, jakim ma pozostać do końca. Stworzył on sobie własny styl, język, wyrażenia, na pozór do naśladowania łatwe i często naśladowane, nigdy jednak szczęśliwie. Opowiadanie jego jest proste, język jędrny — nie nadyma się nigdy, nie puszy, nie wzmaga, nie szuka w jaskrawości wrażenia, śpiewa z serca i do serca, czesto z pewném zaniedbaniem, mającém wdzięk sobie właściwy.

Jest to styl poetycznéj gawędy szlacheckiéj, stworzony przez niego, ubarwiony tylko jenialnością, wystrojony jakby świątecznie do gości. Tym stylem opo-

wiada nam Przygody pana Benedykta Winnickiego w podróży z Krakowa do Nieświeża, powrót w dom rodzicielski — Senatorską zgodę — Sejmik jenerał w Sądowéj Wiszni.

Innym a poważniejszym, zawsze sobą jest w Wicie Stwoszu i Hetmańskiém pacholęciu.

Pol nigdy gwałtu sobie nie zadał, próbując dróg nowych, szukając czegoś niespodzianego a świeżego, wiedział, że ten dar, który mu Bóg dał, z wewnętrznéj natury jego płynął i nie chciał ani myślał narzucać mu barwy i kształtów innych. Z wielką prostotą tworzył on wszystko, cokolwiek wyśpiewał i napisał, nie potrzebował szukać efektów i silić się na treść niezwyczajną, dostarczało mu jéj to bujne życie szlachcica i magnata polskiego, które brał z jego strony pięknéj i idealnéj. Innéj nigdy widzieć w niém nie chciał i nie zobaczył. Jeśli w Pieśni o ziemi naszéj zabrzękła gdzie struna ironią gorzką i wymówką, to pewna, że dźwięk ten usprawiedliwiała stokroć boleśniejsza nad poezyą rzeczywistość.

Pol w pośród poetów téj doby 1830 r. jest jednym z najoryginalniejszych i jedynym, co przeżył długo wszystkich swych rówieśników, świeżém natchnieniem i umysłem rzeźwym tworząc aż do ostatka.

Na kilka miesięcy przed chorobą i zgonem skończył Starostę Kiślackiego, którego wydaniem właśnie się zajmuje p. Żupański.

Poemat to charakterem do innych Polowskich podobny, wcale im nie ustępujący, a wstęp do niego należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedy stworzył poeta. Jest to myśliwskie podanie z życia p. Wąsowicza „wielkiego łowca przed Panem“, oparte na rzeczywistém jakiémś zdarzeniu, ślicznie upoetyzowaném.

Nie miejsce tu ani pora rozbierać krytycznie całą po nim puściznę, którą zebraćby i uporządkować wedle jego myśli i wydać na nowo należało. Plan do tego projektowanego wydania, które poeta zamyślał wykonać, zawarty jest w dwóch czy trzech listach, przed rokiem do nas po ostatnim pobycie w Krakowie pisanych. Chciał Pol przedsiębrać ten zbiór za życia,

a gdyśmy go naglili, aby prospekt ogłosił i zajął się tém, objawił nam obawę, żeby nieprawnemu jakiemu spekulantowi w ten sposób nie ułatwić przedruku, któryby go jedynéj, jaką miał, własności pozbawił. Wiemy, że u nas tego rodzaju gwałty nie są rzeczą bezprzykładną. Nie mamy obrony przeciwko przedrukom, wykonanym po za granicami pewnych części kraju.

Oprócz poematów większych i mniejszych, **Pieśni Janusza**, mnóstwa ulotnych improwizacyi, okolicznościowych poezyi, dramatu **Powódź**, prozą zostawił Pol i niedrukowane studya swe etnograficzne obszerne, obrazy kraju, których część była drukowaną, obrazy z życia i podróży, rzecz o literaturze polskiéj XIX. wieku, odczyty o muzyce religijnéj, powieść rozpoczętą w Kwiatach, któréj cały rękopism miał być w rękach redakcyi.

Od czasu utracenia wzroku zmuszonym będąc dyktować często, bywając cierpiącym, mniéj tworzył i tworzenie przychodziło mu daleko trudniéj... Zresztą wiek sam i doznane cierpienia musiały wpłynąć na siły, które się wyczerpywały... Jednakże umysł jego nie stracił żywości, zajmowało go wszystko, rozgrzewała go piękna poezya cudza, słowa gorące, uczynek piękny. Nigdy nie odmówił współudziału swego i pomocy do żadnego poczciwego przedsięwzięcia... czynnym był i współczuł ze wszystkimi do dni ostatka. Wśród braterskiéj biesiady zmęczony nieraz dosiedział do końca, zaimprowizował coś o swém ulubioném Sandomierskiem, Kochajmy się i oczy ciemniałe zapłakać umiały... Rwała się ta dusza zacna do wszystkiego co poczciwe i szlachetne, dla tego ci ludzie, do których kółka zdawał się wyłącznie należeć, ludzie tradycyi i przeszłości, — nie mogli go nigdy utrzymać w tém ciasném kole, w którém się sami zamykają. — Wychodził z niego, szeroką dłoń ciepłą wyciągając ku każdemu, kto się do niego bratnim odezwał głosem...

Dość było spojrzeć na Pola charakterystyczne oblicze, aby się domyślić w nim całego tego człowieka, jakim był. — Staroszlachecka to była, wąsata, poczciwa twarz, pokryta czołem myśląćém, szerokiém, pofałdowa-

ném jak pobojowisko zryte kopytami koni.... Pomimo pozoru téj buty starego myśliwca, niechże usta otworzył, czułeś w głosie anielską dobroć i słodycz charakteru i prostotę duszy dziecięcą.

Wszystko, co polskie, co domowe, szczególniéj co do jasnéj przeszłości należało, zajmowało go gorąco... Najdobroduszniejszy z ludzi, gdy szło o ogólną sprawę o zdobycie pamiątki, o zachowanie drogiéj relikwii, gotów był chleb powszedni poświęcić. Tak raz wracając do domu z niewielkim groszem, bo poeci go nigdy do zbytku nie mają — potrzebując gwałtownie téj sumki, w drodze spotkał archeologa, rozpoczął z nim rozmowę, posłyszał, że nie było funduszu na rozkopanie ciekawéj mogiły i z kieszeni dobył co miał, zapomniawszy o najgwałtowniejszéj domu potrzebie. I było tak nie jeden raz, ale razy wiele.

Co w życiu zniósł — któż policzy! a czyż wszystko nawet liczyć się i godzi i można? — Nie umiejąc nigdy ani rachować, ani samolubnie oszczędzać, często bywał w potrzebie — nigdy się na to nie poskarzył a wszelaki los znosił umysłem pogodnym i wesołym. Nikt z jego ust skargi nie posłyszał, chyba na to, co ogółu tyczyło.

Pod dobry humor było w nim nie wyczerpane źródło powieści, tradycyi, anegdot z tego skarbca staropolskiego, którego dziś nikt już nam zaczarowanych drzwi żadném: Sezamie! nie otworzy. — Pol wiedział wszystek staroświecki obyczaj szlachecki ... jak się odprawiały gody, jak się porządkowały uczty, jaki był porządek wiwatów (Et post sex—nulla lex!) jak obchodzono pogrzeby i chrzciny. Mógłby był być ostatnim wielkim mistrzem obrzędów Rzeczypospolitéj.... Pamięć miał doskonałą, co przechowywała rzecz wszelką, jak bursztyn wieki zachowuje zagrzęsłą muszkę, otaczając ją złocistemi ściany. — Najmniejszy pyłek przeszłości w nim się na brylant zamieniał. Ku schyłkowi tęsknego życia miał to szczęście, że miłosierna dłoń kobiety przyszła mu osłodzić dni ostatek. — Ale już stargane zdrowie użyć jaśniejszych tych chwil nie dopuszczało, — siły się wyczerpywały, świat téż sta-

czający coraz bardziéj stawał się obcym. Stał w pośród niego mimo współczucia, jakiém go otaczano, osamotniony, widmem z innego świata, nie zawsze zrozumianém i tęskném. . .

Polska szlachecka schodziła w jego oczach do grobu . . . nowe pokolenie do nowéj należało Polski, z męczeństw i srogich doświadczeń zrodzonéj. Usta jego uśmiechały się jeszcze, ale nieraz serce zakrwawić musiało. W téj staréj Polsce, którą on pamiętał, były wielkie przekonań różnice, ale było poszanowanie zdań i braterstwo ludzi obozów różnych, łączących się na hasło — ojczyzna! Doczekał téj chwili, gdy to hasło stało się wyśmianém i sponiewieraném a z braci wyrosły warchołów szajki, których już nikt do wspólnego koła nie nawoła. On przecie do ostatka szedł, gdzie mowę i bicie serca posłyszał.

Pieśniarz, co po sobie zostawił: Janusza, Mohorta, Pieśń o ziemi naszéj, Hetmańskie pachole, Winnickiego, Stwosza, Stryjankę, Starostę Kisłackiego — pisarz, co stworzył Obrazy Polski i Rok myśliwca i tyle innych ślicznych kart — niepoślednie w literaturze polskiéj miejsce zajmuje. Staje on obok Mickiewicza ze Słowackim i Krasińskim na równi, od obu ostatnich choćby formą mniéj wykończoną niższy, oryginalnością ich przechodzący. Słowacki i Krasiński mieli i mają naśladowców, daleko prostszy na pozór, łatwiejszy niby Pol — nie ma uczniów i nie pozostawia szkoły. — Horyzont jego nie rozległy . . . nie wybiega on po za dwór szlachecki, po za zamczysko i bór, ale we dworze, w boru, na łanie, u komina, na myśliwskiém stanowisku panem jest . . . nikt lepiéj, głębiéj nie uczuł, nikt barwniéj ich nie odmalował. — Język jego i styl jednostajny, powtarza się w nim a odzywa często jedno, lecz to mu nadaje charakter, to przekonywa, że będąc sobą, do żadnego naśladownictwa nigdy się nie nadał i o żadne się nie kusił. — Stoi on odrębnie całkiem, lecz wysoko, nie dając się z nikim porównywać, ani od kogo wywodzić — urósł z siebie sam i był zawsze tylko sobą. — Miernych poetów gładsze, wdzięczniejsze utwory mogą być przyznawane różnym, często nawet naj-

większym mistrzom — Polowi nikt nic nie odbierze jego wszystko napiętnowane i naznaczone... swoje własne.

Naukowe prace poety, szczególniéj etnograficzne, muszą być niepospolitéj wartości. Pol znał dobrze warunki pracy i studya, jakich ona wymaga, nie zaniedbał więc pewnie dać im podstaw gruntownych, a umysł poetyczny i intuicya wieszcza nie mogły im zaszkodzić. Mimo uprzedzeń pedantów — dar i talent rzucają światło nowe na przedmioty, byle w naukę uzbrojone były. — Mamy nadzieję, że pozostałość po Polu wedle jego myśli i planu ogłoszoną zostanie. Najpiękniejszy to będzie pomnik dla niego.

Żegnajże nam, kochany poeto! mała garść została już z tych czasów... jeszcze chwilka a nowemu pokoleniu opróżnim plac do walki.... Na mogile wieniec laurowy dla żołnierza, wieniec dębowy dla obywatela, palma dla męczennika i wieszcza!!

3 grudnia 1872.

J. I. Kraszewski.